

Upał niemiłosierny. Zdawałoby się, że przed wieczorem powinno się trochę ochłodzić, ale właśnie nie: nagrzanym, parzącym w stopy piasek, spalone całodziennym słońcem ziola, nawet gorzko-cierpki zapach zakurzonej drogi. Anna dyszy ciężko. Ociera spoconą twarz. Jeszcze trochę - tam, za zakrętem, powinna być kępa brzoź, taki mały zagajnik z resztą wilgoci w trawie. Może z jakim zabłąkanym fiołkiem? Cienisty i chłodny. Jest zmęczona. Jest bardzo zmęczona. Bliska płaczu. Gwiazdy ledwie blakły na granatowoszafirowym niebie zapowiadając pożar wschodu, gdy cicho zsunęła się z łóżka. Pobożnie, na kolanach, zmówiła godzinki. Jędrzej się nie obudził. Tylko mruknął coś przez sen. Obrócił się na drugi bok. W kuchni tlił się jeszcze wczorajszy żar – dowód na to, że jest dobrą gospodynią. Rozniecila ogień. Zagotowała wodę. Na podwórzu nocne cienie i wszystkie odcienie szarości. Anna weszła w mrok obory. Trzeba się spieszyć. Wydoić i napoić zaspaną krowę. Rozsypać ziarno dla drobiu, utłuc ziemniaki z osypką i wrzątkiem dla wiecznie głodnych, kwiczących prosiaków. Pies pomachał milcząco ogonem. Nalala mu parującego mleka. Wróciła do chałupy. Weszła do izby, osłaniając ręką mały kaganek. Na skrzyni spał kot zwinięty w kłębek, gdy podeszła, przeciagnał się i ziewnął. Zgoniła go jednym ruchem. Zaczął ocierać się i mruzczyć. Ostrożnie wyjęła ze skrzyni świąteczne ubranie: białą koszulę, kwiecistą sukienkę z czerwonym gorsetem i chustę pasową w róże. I jeszcze czepiec – z białego

tiulu. Trzewiki sznurowane czerwoną tasiemką przewiesiła przez ramię (by się nie zakurzyły w drodze, włoży je tuż przed wejściem do kościoła). Białe pończochy, butelkę z wodą, kawałek sera i grubą pajdę chleba schowała do węzła. Pierwsze złociste promienie słońca przedarły się nad ciemną linią lasu, gdy pusta zwykle o tej porze droga zapelniła się pątnikami. Anna dołączyła śpiewając z innymi litanie do wszystkich świętych. Szli szybko, tak szybko, że Annie trudno było utrzymać tempo. Gdy weszli w pole – całe w unoszącej się mgłę i rosie sprawiającej, że każde zioło, każda trawka, kłos, kwiat, pajęczyna skrzyła się tysiącem światel – szpaki zaczęły poranny koncert. Przydałoby się teraz trochę tej chłodnej rosy pod nogami – pomyślała. Była zmęczona całodzienną drogą, ściskiem panującym w kościele kalwaryjskim, na uliczkach, przy źródle świętego Antoniego. A potem, w drodze powrotnej, zaraz za przeprawą została sama. Nie nadażyła za swoimi, a oni nie poczekali. Nawet Katarzyna, nawet Aniela – Jędrzejowa siostra – a przecież wiedziały jak jej ciężko. Coś drapie w gardle na samo wspomnienie. Ma żal do sąsiadów, do własnej słabości. Czuje się coraz bardziej samotna, opuszczona

i nieszczęśliwa. I jeszcze ten kurz na drodze, ta spiekota. Jedna po drugiej, wielkie lzy, płynął po policzkach. Ociera je wierzchem dłoni, rozmazuje kurz, zupełnie jakby była małą, zgubioną daleko od domu dziewczynką, a nie dorosłą, w latach, mężatką.

– Co to wam się stało? Może, co pomóc? – słyszy tuż obok nieznajomy głos. Skąd się tu wziął ten żebrak, dziad odpustowy, o twarzy łagodnej i dobrej? Anna, zamiast zwykłego dystansu, nagle wtula się w jego lachmany i jak małe dziecko płacze, płacze, płacze. A potem opowiada o wszystkich swoich troskach: jak to za mąż wyszła – będzie już dwanaście lat temu, jak to męża ma dobrego, oboje są pracowici, pobożni, uczciwi, ale jakoś im Pan Bóg nie pobłogosławił, bo choć we wsi jest dużo dzieci – żadne nie jest ich. Co roku rodziły im się – żadne nie przeżyło ani dnia. Na cmentarzu w Kolbieli jest już jedenaście małych mogilek. Czy może być co boleśniejszego dla matki? Teraz znów jest w ciąży. Drży z lęku o to swoje małeństwo, więc wybrała się w drogę do Góry Kalwarii, do świętego Antoniego, błagać o pomoc. Jeśli on nie sprawi cudu... Anna nie wie, czy w tumie ją usłyszał. Było tyle ludzi, a przecież każdy przyszedł z jakimiś kłopotami... taki święty ma dużo pracy, jest bardzo zajęty... Droga mija im nie wiedzieć kiedy, a równocześnie całe zmęczenie odeszło, jakby zostawiła je gdzieś po drodze. Czuje się świeżo, radośnie. Ani się nie obejrzała, jak doszli do wsi. Annie jakoś żal się zrobiło, nie chciała się rozstawać z towarzyszem podróży

– Zajdźcie do nas, proszę, – zaprosiła śpiesznie żebraka – znajdzie się i trochę jedzenia, i zapas na drogę, a i kawałek ławy

w kuchni na nocleg...

– Dziękuję dobra kobieto, ale muszę iść dalej, czekają na mnie.

Popatrzyła w tę dobra, pocziwą twarz, przypomniał jej się węzelek z jedzeniem na drogę, szybko rozsypała chustę. Weźcie, chociaż to, dobry człowieku, chociaż to – uśmiechnęła się

– Dziękuję ci Anno – powiedział – ja też mam dla ciebie podarunek: jak już będziesz rodzić swoje dzieciątko, niech twój mąż wyjdzie na wały przy Wiśle i zawoła po trzykroć "Dziadku Antoni! Dziadku Antoni! Dziadku Antoni! Przyjdź, Anna potrzebuje pomocy", to przyjdę i postaram ci się pomóc. – też się uśmiechnął, jakoś tak ciepło, pokłonił krzyżowi na rozstaju i poszedł dalej. Anna chwilę jeszcze stała patrząc za nim.